

Teksty Drugie 1991, 1-2 , s. 233-236



CENTRUM
HUMANISTYKI
CYFROWEJ

Salon Karpińskiego

Lidia Burska

Salon Karpińskiego

Książki zbójeckie — to świetny tytuł i dobry pomysł na książkę.¹ I niewiele więcej. Szkicując portret literatury emigracyjnej: zakazanej, zachłannie czytanej nocami, rewoltującej umysły i uczucia młodych ludzi edukowanych w PRL-u, Wojciech Karpiński próbuje ukazać także fragment duchowej biografii swego pokolenia, a raczej tej jego części, którą zwykliśmy utożsamiać z ideowymi leaderami Marca. Tytuł doskonale mógłby się komponować z tak zamierzoną treścią. Bowiem jak przed stuleciem zwiastuny europejskiego romantyzmu burzyły w oświeconym Wilnie i Warszawie stare nawyki myślenia, a wraz z nimi ład polityczny kongresu wiedeńskiego, tak o wiek później „książki zbójeckie” polskich pisarzy emigracyjnych stały się kolejną „szkołą zdrady i zarazy”, z której tym razem (z dużym uproszczeniem rzecz ujmując) wyszli nasi likwidatorzy PRL-u i traktatu jałtańskiego. Istnieje inne jeszcze, dobitnie podkreślane przez Karpińskiego, podobieństwo. To analogia między dwiema emigracjami: Wielką, po powstaniu listopadowym, i tą, która miała miejsce po drugiej wojnie. Autor silnie akcentuje dojrzałość, mądrość literatury emigracyjnej, jej duchową przewagę nad miałką i nijaką kulturą zniewolonego kraju. O literaturze tworzonej nad Wisłą pisze:

wydawała mi się bądź obca, bądź marginalna. Chora na anemię. Nie mówiła do mnie. Nie dotykała rzeczywistości, to znaczy nie ułatwiała jej dotknięcia. Odstępowała [...] odwracaniem od życia.

Natomiast twórcy z kręgu „Kultury” paryskiej (bo tylko ten fragment literackiego życia emigracji interesuje autora) wydają się Karpińskiemu duchowymi spadkobiercami wieszczów-emigrantów. Ich książki przedstawiane są jako wielka skarbnica ostatnich naszych zbiorowych

⁸ Już po napisaniu tego szkicu przeczytałem wnikliwy i bogaty problemowo esej Krystyny Tarnawskiej-Kaczorowskiej *Andrzej Panufnik i fletnia Marsjasza* („Kultura Niezależna” nr 65, grudzień 1990). Omawia on całość zjawiska i analizuje je z różnych punktów widzenia; moje skromne uwagi dotyczące jedynie epizodu nie wchodzą w konflikt z wnioskami wynikającymi z rozważań specjalistki.

¹ W. Karpiński, *Książki zbójeckie*, Londyn 1988, Polonia, seria „Wokół literatury”.

doświadczeń i płynącej z nich mądrości, świadectwo narodowej tożsamości, ciągłości kulturalnej i związków z Europą. Cechy te — skądinąd trafnie dostrzeżone i nazwane przedstawione są jako bezcenne wartości i cnoty tych jedynie dzieł, które czyta i opisuje Wojciech Karpiński.

Czy to wzór Wielkiej Emigracji przytłaczającej siermiężnych „romaników krajowych” tak obezwładnia autora, czy też jego osobisty snobizm tak wznosi go ponad polski grajdoł, że z wysokości podniebnego lotu nie rozróżnia zjawisk i nazwisk, chorą anemiczność równo dzieląc, jak rozumiem z powyższego cytatu, między Zofię Bystrzycką i Hannę Malewską, Romana Bratnego i Mirona Białoszewskiego, Tadeusza Kijonkę i Zbigniewa Herberta? Sąd Karpińskiego, pozbawiony jakichkolwiek odniesień do konkretów, można byłoby spokojnie pominąć, gdyby nie fakt, że ostatnio coraz częściej słychać głosy podobnie brzmiące. Jestem spokojna o przyszłą hierarchię naszej historii literatury. Myślę bowiem, że po obecnej burzy przewartościowań przyjdzie czas refleksji i sprawiedliwych ocen. *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego nie przytłoczy *Kamiennego świata*, lecz zajmie należne mu miejsce obok opowiadań Tadeusza Borowskiego. A triumfy Miłosza, Czapskiego, Stempowskiego czy Jeleńskiego nie zaciągną mądrości dzieł Malewskiej, Szymborskiej czy Herberta.

Zdumiewa mnie jednak i niepokoi niezrozumiała niechęć krytyków kultury peerelowskiej do samych siebie i własnych doświadczeń, tu w kraju przecież gromadzonych, zaparcie się własnej biografii, własnej tożsamości. Niewielu z nas przeżyło w wieku dziecięcym, jak Karpiński, duchowy wstrząs spowodowany *Zniewolonym umysłem* Miłosza. Większość została duchowo ukształtowana (i to wcale nie najgorzej!) przez pogardzaną obecnie peerelowską kulturę: książki, filmy, spektakle teatralne, piosenki. Nie dokonujemy na sobie gwałtu. Nie odrzucamy literatury krajowej tylko dlatego, że przez kilkadziesiąt lat żyliśmy tylko z nią, przy sztucznej nieobecności dzieł pisarzy emigracyjnych. To grozi schizofrenią. Uwagi te kieruję przede wszystkim do naśladowców Wojciecha Karpińskiego, którzy wykrzykują gromkie: *apage!* wszystkiemu, co ma stempel PRL-u. Nie ma powodu wypierać tego ze świadomości tylko dlatego, by znaleźć się na najmodniejszym dziś szlaku intelektualnym „z Berdyczowa do Rzymu”. Nie zapominajmy o tym, że szlak ten — naznaczony wieloma osobistymi dramataми — był także (a może przede wszystkim) życiową koniecznością jego odkrywców, ludzi wydziedziczonych ze swych ojczyzn. Dla Karpińskiego to już tylko szlak literacki.

O naszej rzeczywistości śpiewał Młynarski, z ironicznym uśmiechem przekonując nas o tym, że „szalenie nam do twarzy z naszym

wschodnioeuropejskim stylem bycia". Tymczasem autor *Księżek zbójeckich* (a za nim jego młodszy naśladowcy) kreuje swój świat duchowy w całkowitej izolacji od tej rzeczywistości. Tak, jakby nigdy nie chodził po warszawskich ulicach, nie hańbił się czytaniem marginalnej literatury krajowej, nie był świadkiem lub uczestnikiem tych kilku, pisanych z dużych liter, miesięcy, symbolizujących przełomy historyczne PRL-u. Chętnie kreuje siebie jako tego, który wcześniej się dowiedział, zrozumiał, już jako dwunastoletni chłopiec czytał przez ramię starszego brata *Zniewolony umysł* („Te strony parzyły, jakbym dotykał lodu”). Od początku opowiedział się po właściwej stronie, nie błądził, nie wstydził się swoich wyborów, czytał tylko najwybitniejszych pisarzy powojennej emigracji.

Choć nie ma powodu wątpić w prawdomówność Wojciecha Karpińskiego, jego autoportret bardziej przypomina literackie wizerunki nad wiek dojrzałych młodzieńców z *Godziny myśli* czy *Kordiana*, niż problemy psychiczne nastolatka. Może przemawia przeze mnie zawiść lub kompleks niższości (moim największym przeżyciem w tym wieku był bowiem, o wstydzie, film z Beatlesami *A Hard Day's Night*), lecz nie mogę się oprzeć uwadze, że wiedzy i mądrości nie można bezkarnie dostępować w czasie dla nich nie przeznaczonym. Nie są one bowiem wówczas nie wiedzą i mądrością, a tylko naśladownictwem gestów i słów, które mają je oznaczać, podpatrzonych i podsłuchanych u starszych. Denerwującą cechą *Księżek zbójeckich* (i całej niemal eseistycznej twórczości Wojciecha Karpińskiego) jest wszechobecny styl prymusa, chłopca, który umie się znaleźć, wie, co i jak powiedzieć, żeby być zauważonym, ma ambicję dorównania najlepszym. U piszących o sztuce, także o literaturze, jest to cecha zabójcza. Sprawia bowiem, że trud wysłowienia istotnych treści sztuki staje się daleko mniej ważny niż obsesyjna wręcz potrzeba ładnego o niej mówienia, formułowania błyskotliwych myśli, wprawiających w zachwyt (i samozachwyt, niestety). Gdy czytam eseje Karpińskiego, nie opuszcza mnie uczucie, że autor zasłuchany jest we własny głos. Konsekwencją tego są „konwersacyjne” wizerunki dzieł literackich, tworzone jak gdyby od niechcienia, w miłej rozmowie, w sympatycznym salonie. Niestety, zbyt często jest to odbicie „salonu warszawskiego” z III części *Dziadów* z jego słodyczą sztucznej mowy. Chciecie — to posłuchajcie co pisze eseista. O Aleksandrze Waciu:

Trzeba było zapewne zanurzyć się głęboko w demoniczność, uchwycić — meandrami stylu, jego przyspieszonym oddechem, ciężarem intymnego słowa — wiedzę sięgającą przez wieki i języki, aby zdobyć i przekazać własny głos, a w nim własne rozdarcie, ciemność, ból, rozumienie.

O Miłoszu:

Różni go coś zasadniczo i od cerebralnego, krytycznego uduchowienia Pawła Valéry, i od przeanielażącej się niematerialności Rilkego, i od panteizmu Pasternaka, i nawet od spopielonej metafizyki Eliota. Miłosz wydaje się bardziej złożony, ale umyka formułom.

O *Innym świecie*:

Tajemnicą artyzmu *Innego świata* jest chyba to przejmujące złączenie dwóch planów: ludzkiego i nieludzkiego, nadziei i beznadziejności, konkretności i refleksji, obserwacji i osądu, rozbudowanej metafory i ascetycznej narracji. Niektóre zdania wydają się rąbane w łodzi, inne brzmią jak skrzywienie śniegu pod podszewkami, inne wybuchają nagłym płomieniem stłumionego liryzmu.

Trudno powstrzymać się w tym miejscu od uwagi, że takim tonem Mickiewiczowskiego „salonu warszawskiego” można co najwyżej rozmawiać o tych, którzy piszą „o sadzeniu grochu”. Nieświadom ograniczeń własnego stylu, Karpiński często wpada w kicz lub w mimowiedną autoparodię. Powyższe cytaty, wybrane przypadkowo i bez złośliwości, są tego świadectwem. Mimo egzaltowanych zapewnień o wzruszeniu, olśnieniu, porażeniu mądrością i pięknem literatury emigracyjnej, autor *Książek zbójcekich* nigdy chyba nie przeżył naprawdę treści tych dzieł, o których pisze. Nie istnieje więc dla niego problem względnie adekwatnego wysłowienia tych treści, odczytania znaczeń. Toteż, gdy próbuje przybliżyć się do tego, o czym piszą cenieni przez niego pisarze, zwykle wpada w pułapki słów zużytych (w esejach o twórczości Gombrowicza, Miłosza czy Herlinga-Grudzińskiego) lub w styl ładnej, powierzchownej konwersacji (gdy pisze o szkicach Czapskiego czy Jeleńskiego o sztuce).

Ogromnie mi żal tytułu — genialnego wprost dla książki o rodzeniu się (przy współdziałaniu literatury emigracyjnej) nowej jakości duchowej w kraju, a zmarnowanego dla kilku laurek, którymi „książek zbójcekich” honorować po prostu nie wypada, bo przecież (jak nazwa wskazuje) nie są to salonowe pieszczoszki.

Lidia Burska